

# Werner, Jan

---

## Dwanaście lat w "Życiu Gospodarczym" (1945-1957) : fragmenty wspomnień

---

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 29/2, 115-134

---

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JAN WERNER (Warszawa)

## DWANAŚCIE LAT W „ŻYCIU GOSPODARCZYM” (1945—1957)

## Fragmenty wspomnień

Po II wojnie światowej rynek prasowy w Polsce był ogołocony z gazet, ale nowe elementy ustrojowe nie każdemu pozwalały na działalność wydawniczą. Należało nie tylko zmieścić się w linii ogólnego światopoglądu, lecz również kształtować się w nowych, specyficznych formach działania. Były to przede wszystkim spółdzielnie wydawnicze. Jedne z nich związane były bardzo ściśle z partiami politycznymi, innym wzór dała borejszowska Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”.

Statut „Czytelnika” w § 3 głosił: „Celem Spółdzielni jest działalność wydawnicza, oświatowa i propagandowa oparta na zasadach demokratycznych i postępowych dla podniesienia ogólnego poziomu wiedzy społeczno-politycznej w Polsce oraz udostępnienia najszerszym masom obywateli Rzeczypospolitej korzystania z pism codziennych, periodycznych i wszelkiego rodzaju wydawnictw o treści politycznej, społecznej, ekonomicznej, literacko-artystycznej i popularnonaukowej”. Ja sam, rozpoczynając pracę dziennikarską w czytelnikowskim „Dzienniku Zachodnim” (czerwiec 1945 r.), zostałem pozyskany na członka „Czytelnika” i wpłaciłem udział 110 zł w czterech ratach — od listopada 1945 do 1 kwietnia 1946 r.

Organizatorzy „Życia Gospodarczego” mogli zgodnie ze statutem „Czytelnika” szukać możliwości wydawniczych w jego ramach. Tym bardziej że deklarowali się politycznie. Adam Szczepanik związał się w młodości z PPS, po wojnie też należał do PPS w Katowicach, a potem do PZPR. Józef Mańkowski działał w Stronnictwie Demokratycznym. Praca w rozwijającym się gwałtownie koncernie czytelnikowskim nie byłaby jednak dostatecznie samodzielna, biurokratyzacja partii politycznych i ich przedsięwzięć następowała szybko.

Znacznie większe pole działania obiecywała inicjatywa osobista, czyli zorganizowanie wydawniczej spółdzielni obejmującej edytorską akcją periodyki gospodarcze i ekonomiczne. Należało szukać protektora mającego dorobek organizacyjny i siłę. Szczepanik i Mańkowski zagięli parol na „Społem”. Otrzymałszy od władzy już w pierwszych dniach wyzwania kraju spod okupacji hitlerowskiej mandat organizowania rynku wewnętrznego — od rozdzielnictwa po handel spożywczy w miastach — „Społem” dysponowała kadrami, siecią zbytu, pieniędzmi, a przede wszystkim towarami, w tym również dostarczonym z ZSRR i UNRRA. Posiadała wreszcie uprawnienia samorządowe, a w statucie działalność społeczną.

Nasi twórcy „Życia Gospodarczego” nie zapomnieli również o szerszym zapleczu społecznym. Członkami organizowanej Spółdzielni Wydawniczej „Życie Gospodarcze” mogły być osoby fizyczne i prawne, np. centralne zarządy przemysłowe, banki, przedsiębiorstwa i firmy. O ile pamiętam, udział członkowski wynosił 500 zł, a więc pięciokrotnie więcej niż czytelnikowski. Była to kwota licząca się w bud-

zecie rodzinnym, toteż uchyliłem się od proponowanego mi członkostwa. Była to jednocześnie kwota zbyt mała, żeby kilkudziesięciu udziałowców — osób prawnych — zapewnić mogło powstanie kapitału zakładowego i obrotowego. Nie o to też chodziło. W oparciu o portfel udziałów, reprezentujących szeroki wachlarz przedsiębiorstw gospodarczych Polski 1945 r., można było liczyć na zarejestrowanie spółdzielni, uzyskanie kredytów, a w następnym okresie zaprenumerowanie czasopisma przez udziałowców i aktyw gospodarczy, a jednocześnie na ogłoszenia przedsiębiorstw-udziałowców.

Ten plan zrealizowany został w okresie kilkunastu tygodni. Statut Spółdzielni Wydawniczej „Życie Gospodarcze” przewidywał wydawanie lub współdziałanie w wydawaniu czasopism, broszur, książek o charakterze gospodarczym, urządzenie odczytów, klubów dyskusyjnych, wystaw i wycieczek naukowych lub gospodarczych, a ponadto działanie społeczne i gospodarcze zmierzające do urzeczywistnienia powyższych celów. Siedzibą spółdzielni były Katowice, terenem działania — Polska. W sierpniu 1945 r. Związek Rewizyjny Spółdzielni RP (Łódź) stwierdził celowość powołania Spółdzielni Wydawniczej „Życie Gospodarcze”. Spółdzielnia stała się członkiem Centrali „Społem”, w jakiś zaś czas potem Centrali Spółdzielni Wydawniczych i Księgarskich w Warszawie. Do Rady Nadzorczej Spółdzielni „Życie Gospodarcze” weszli przedstawiciele „Społem”, przemysłu, NBP, Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. W pierwszym Zarządzie prezesem został Adam Szczepanik, członkami wiceprezydent Katowic W. Sobol, dyrektor Polskiego Radia Józef Burczak; urzędującym członkiem Zarządu został Józef Mańkowski, radcą prawnym adwokat Czesław Przymusiński.

Zorganizowawszy podstawy prawne i organizacyjne, Spółdzielnia przystąpiła do przygotowania prezentacji na rynku swego pierworodnego dziecka, dwutygodnika „Życie Gospodarcze”.

Zostałem zaproszony do przygotowania serwisu informacji międzynarodowej, jaki był przeznaczony do pierwszego numeru, datowanego w grudniu 1945 r. „To dobry termin — mówił Szczepanik — gdyż już drugi kolejny numer będzie mógł nosić stempel »Rok II, nr 1«”. Tradycję liczyło się wówczas na tygodnie i miesiące.

Mój przegląd był drukowany właśnie w tym drugim numerze, gdyż do pierwszego nie zmieścił się. Zamieszczono natomiast ogólnoekonomiczny artykuł międzynarodowy pióra Augusta Grodzickiego. Byłem tym bardzo dotknięty, gdyż uważałem, że duma moja została boleśnie zraniona.

W jesieni 1936 r., jako depešzowiec korfantowskiej „Polonii”, zostałem powołany do odbycia służby wojskowej, odroczonej do tego czasu z racji studiów. Po moim wcieleniu do kaliskiej podchorążówki miejsce depešzowca „polonijnego” objął stenograf Stanisław Szypiński, uprzednio pracujący w katowickim oddziale PAT. Korfanty przestrzegał zasady, by chadecy nie redagowali centralnego organu chadeckiego. Toteż młodzi współpracownicy, nie rekrutujący się ze środowiska czysto śląskiego, pilnowali służby informacyjnej, ograniczając się jedynie do lojalności wobec Korfantego, który w codziennym redagowaniu dziennika i w artykułach światopoglądowych oraz politycznych w tygodniu nadawał „Polonii” pion i wyraz. Szypiński, były peowiak i piłsudczyk, leczony z ran odniesionych w powstaniach śląskich, był w szpitalu traktowany morfiną, do której przyzwyczajenie „wybijał” potem alkoholem i piekielnie mocną czarną kawą. Objąwszy po mnie depeše, w krótkim czasie puścił jakieś tęgie głupstwo, bodaj w tytule, i Korfanty — już na emigracji, wszakże pieszczący nadal codziennie „Polonię” i dyrygujący nią telefonicznie z Pragi, a potem z Paryża — kazał Szypińskiego z miejsca zwolnić. Grodzicki, który ukończył studia polonistyczne w Krakowie i kręcił się właśnie w katowickich kołach dziennikarskich, wszedł na miejsce Szypińskiego (który przeszedł do „Polski Zachodniej”) i powitał mnie przy moim stole depešzo-

wym, gdy jesienią 1937 r. wróciłem z wojska do pracy. Przesunięto mnie na kierowanie działem gospodarczym. Nasze *bec-à-bec* z Grodzickim rozwijało się przyjaźnie aż do września 1939 r.

Po wojnie obaj spotkaliliśmy się w powstałym na technicznej bazie „Polonii” „Dzienniku Zachodnim”.

Ja organizowałem z zapalem odbudowę powojennego domu rodzinnego po wieloletniej rozłące z żoną i córką. Mieszkaliśmy pod miastem, w Ligocie. Grodzicki mieszkał w centrum miasta, czas spędzał często w kawiarniach, gdzie kontaktował się ze Szczepanikiem i Mańkowskim. Nie wiem, czy proponowali mi stałą pracę w „Życiu Gospodarczym”. W „Dzienniku Zachodnim” był zastępcą redaktora naczelnego, jako recenzent teatralny miał liczne kontakty towarzyskie, niebawem przeszedł do Warszawy na stanowisko redaktora naczelnego w głównym organie Stronnictwa Demokratycznego — „Kurierze Codziennym”.

Mniej zajmowałem się wówczas polityką wewnętrzną, poświęcając się dziennikarstwu i publicystyce gospodarczej. Od stycznia 1946 r. współpracowałem już stale z „Życiem Gospodarczym”; latem tego roku zaproponowano mi tam stały etat.

Utrzymać w rękę trzy etaty było rzeczą bardzo trudną, jeżeli chciało się pracować uczciwie, wydajnie. Starałem się efektywnie wykorzystywać każdą minutę. Rano o ósmej byłem już w Centralnym Zarządzie Przemysłu Hutniczego, obiegałem wydziały i zbierałem materiały do dekadowego biuletynu informacyjnego. O dziesiątej odbywały się często różne konferencje prasowe, na których reprezentowałem zarówno hutników, jak i gazetę. W tym czasie zapraszano na takie spotkania wszystkich, kogo się dało. Referenci prasowi przemysłu bywali stałymi gośćmi bardzo odległych tematycznie i organizacyjnie konferencji i nikogo to nie raziło. Około południa zaczynałem codzienną pracę w „Dzienniku Zachodnim”: czytałem prasę, adiustowałem nadesłane materiały, pisałem artykuły itd. Tak czas schodził do popołudnia. Kiedy dziennikarze wybierali się do kawiarni, by odświeżyć się kofeiną, a także nieoficjalnie spotkać ludzi, na kontaktach z którymi im zależało, ja wsiadałem do autobusu lub do pociągu, by po dziesięciu minutach znaleźć się w domu. Tam porządkowałem archiwum, jakie zbierałem z wycinków prasowych zgromadzonych w ciągu dnia, pisałem pogadankę do radia lub artykuł zamówiony przez obce redakcje, korzystałem ze spaceru rodzinnego w ligockim lesie lub parku klasztornym i dzień się kończył, o ile nie jechałem z żoną po raz drugi do miasta na koncert czy do teatru. Czasem wybierałem się do któregoś z innych miast górnośląskich z pogadanką gospodarczą, zamówioną np. przez konkurujący z hutnictwem przemysł węglowy, skąd gospodarze odsyłali mnie samochodem w późnych godzinach wieczornych. W ten sposób kumulowałem środki na rodzinną odbudowę powojenną. Żona zaczęła pracować w dzienniku radiowym radiostacji katowickiej.

Poza stworzonym osobiście archiwum wzbogacaliśmy rodzinne środki produkcji maszyną do pisania, kupioną okazjnie od pracownicy „Dziennika Zachodniego” za 5000 zł (drogo, ale Rheinmetall wysokiej klasy, służący mi do dziś), zakładając telefon, zdobywszy z poniemieckich zapasów dobry radioaparat, wreszcie fundując sukienkę i płaszcz żonie, która wyszła z powstania bez niczego, garnitur cywilny i jesionkę dla mnie (chodziłem długo w amerykańskim mundurze ofiarowanym w czasie niewoli przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż).

Współpraca z redaktorem naczelnym „Dziennika Zachodniego”, Ziembą, była bardzo trudna. Jako dziennikarz, pracownik przedwojennej „Polonii”, gdzie kolegowali się, rzucał ciągle oryginalne pomysły, ale przecież musiał je realizować, co mu zabierało czas. Jako kierownik „Dziennika”, rzucał jeszcze więcej pomysłów, ale zlecał ich wykonanie współpracownikom, sam zaś ogłaszał nowe idee i koncepcje. Nieraz zmieniał decyzje w ciągu dnia kilkakrotnie, co przeszkadzało

tym, którzy je realizowali. Dla mnie, ponieważ organizacji pracy osobistej i podnoszeniu jej wydajności do apogeum poświęcałem wszystkie siły, porzucanie zaczętej pracy było nieznośne. Ba, zdarzało się, że dostawszy polecenie napisania wstępniaka, po dwóch godzinach kończyłem dyktando maszynistce, a jednocześnie dowiadywałem się, że ktoś inny zaczyna właśnie zlecony kolejny wstępniak, a i to bez gwarancji, że któryś z tych dwóch będzie drukowany, bo było dopiero późne popołudnie.

Toteż propozycję przejścia do „Życia Gospodarczego” przyjąłem chętnie.

Szczepanik zdobył dla dwutygodnika ogłoszenia (na kartonowe okładki, a więc opłacone specjalną, wyższą taryfą) na trzy pierwsze numery, zapewnił zbyt pisma w sieci jednostek spółdzielczych, dość bezceremonialnie przetasował skład rady nadzorczej i zarządu. W ten sposób spuścił na szerokie wody rynku wydawniczego flagową jednostkę wymarzonego przez siebie koncernu. Trzeba było myśleć o zamustrowaniu stałej, pewnej załogi. Wiceprezydent Katowic Sobol redagował pierwszy numer. Stanowisko naczelnego otrzymał może dlatego, że Spółdzielnia Wydawnicza „Życie Gospodarcze” potrzebowała lokalu, i dostała go, że zapewne w wielu innych sprawach uzyskano od miasta to i owo, nie bez wpływu redaktora-wiceprezydenta. Na pewno bardziej mu zależało na wiceprezydenturze niż na redakcji. Opiekował się nią urzędujący członek zarządu spółdzielni Józef Mańkowski, już od pierwszego numeru startujący stałym felietonem „Na fali”. Pierwszy, programowy, wstępniak był pióra Szczepanika, który otwierał i następne numery zgrabnymi uwagami czołowymi.

Pracy przybywało. W rozmowach angażujących mnie widać było, że jej nie zabraknie. Wobec tego postawiłem warunek: objęcie stanowiska sekretarza redakcji. Po przedwojennych „polonijnych” i powojennych „dziennikowych” doświadczeniach jako szeregowego dziennikarza i kierownika kolejnych działów chciałem sięgnąć po stanowisko sztabowe, nie rezygnując zresztą z codziennej osobistej pracy w zakresie zdobywania informacji oraz działalności publicystycznej. Powiedziałem Szczepanikowi, że chcę traktować nowe zajęcie poważnie i zamierzam rozstać się z redakcją „Dziennika Zachodniego”, tym bardziej że stosunki z jego szefem zaczynają zaostriżać się.

Ziemia był zaskoczony moim wypowiedzeniem i prośbą o jego natychmiastowość, ale powiedział po prostu: „Jeżeli uważasz, że tam ci będzie lepiej, no to wszystkiego dobrego”. Podaliśmy sobie ręce i dalsze, przygodne już spotkania odbywały się przyjaźnie, nawet gdy zaczynał snuć coraz fantastyczniejsze pomysły. Dyskutowałem o nich chętnie, wolny od obowiązku ich realizacji i porzucania zaczętej pracy w połowie.

Tak więc przeniosłem się z ulicy 3 Maja prawie przy Rynku na drugą stronę tej ulicy, tyle że dalej (między Stawową i Słowackiego).

\*

Dwutygodniowy rytm wydawniczy w porównaniu z dziennikiem zdawał się czymś niesłychanie powolnym i spokojnym. O ile w „Dzienniku Zachodnim”, w jego pierwszej, popolonijnej siedzibie, redakcję od drukarni dzielił tylko pułap, a łączącą ręczną winda przebita przez strop, a potem na ulicy 3 Maja działała ekipa gońców błyskawicznie przerzucająca materiał redakcyjny na ul. Sobieskiego do drukarni, o tyle w „Życiu Gospodarczym” przygotowywało się przez dziesięć dni materiał do składania, aby przekazać go potem spokojnie do drukarni na ulicę Francuską. Dyrektorem był tam stary Ślązak, powolny w ruchach, akuratywny i flegmatyczny; łamaczami — Frąckowiak, działacz związkowy i wykładowca w szkole rzemieślniczej, oraz Waśik, niezwykle uprzejmy i subtelny, szczególnie w porównaniu z Frąckowiakiem, który jako półinteligent grzeszył zarozumiałością. Poza

akcydensami na Francuskiej składało się i łałało jedynie „Życie Gospodarcze”. Nie wchodziło się w drogę nikomu z ewentualnych współklientów, metrampaż pracował na piętrze, w pokoju widnym i obszernym. Obok w pokoiku specjalnie wydzielonym działał korektor, p. Stefanowski, człowiek tęgi, w okularach, nieco kulejący, odznaczający się nienaganną kulturą, zawsze uśmiechnięty. (Było to tym bardziej godne uwagi, że jak się potem dowiedziałem, pp. Stefanowscy stracili w powstaniu dwóch synów.) Również — jak się później dowiedziałem, był on zaangażowany do „Życia Gospodarczego” na etat sekretarza redakcji, lecz spośród wielu funkcji pełnił tylko obowiązki korektora. Nie wchodziliśmy więc sobie, jako dwaj sekretarze, w drogę.

Dwutygodnik miał objętość początkowo 24, potem 32, 48, a nawet 64 kolumny formatu A-4, z kartonową okładką przeznaczoną na winiętą tytułową, duży kolejny numer i spis treści; 2, 3 i 4 kolumny okładki poświęcone były na ogłoszenia, które zresztą wkraczały czasem do wnętrza numeru. W dalszej przyszłości ogłoszenia pozatekstowe i tekstowe zastąpione zostały przez całe monograficzne numery, poświęcone zamożniejszemu zleceniodawcom, którzy za nie płacili.

Wracajmy na ulicę 3 Maja.

Pocztę załatwiał sekretariat przedsiębiorstwa, dzieląc ją na wydawniczą i redakcyjną. Na listowną informację czytelniczą nie liczyliśmy — wszak to nie gazeta. Bardzo wiele listów związanych z rozwijającym się zakresem spraw przedsiębiorstwa trafiało do Szczepanika, a w jego nieobecności — do Mańkowskiego. Artykuły gazety oraz biuletyny przeznaczone były do właściwej redakcji. Mańkowski redagował część artykułowo-publicystyczną, ja zaś informacyjną. Postarałem się od razu o prasę zagraniczną: brytyjską („The Economist”, „Times”, jakież inne pisma), szwajcarską („Neue Zürcher Zeitung”, jakiś redagowany po francusku i niemiecku tygodnik gospodarczy z Lozanny, jakiś dziennik francuski), „Prawdę” moskiewską, „Planowe Chożajstwo”; tygodniki z krajów demokracji ludowej, choć sam po czesku i bułgarsku jeszcze nie mówiłem. Mańkowski rzucał okiem na tytuły artykułów w prasie zagranicznej, po czym przesuwiał cały ten chłam na moje biurko, stojące tuż naprzeciw jego. Przeżuwałem tę objętościową paszę z cierpliwością wołu, a następnie szybko — ślepią metodą — rzucałem serię informacji na maszynę do pisania [...]

Mańkowski prowadził dobór materiałów artykułowych i adiustował maszynopisy niezwykle starannie, w razie wątpliwości merytorycznych czy językowych konsultował się ze Szczepanikiem i ze mną, ale z czasem odstępował część tej pracy mnie, co przyjmowałem bez oporów, gdyż w ten sposób stawałem się bardziej niezbędny, a z czasów przedwojennych pozostały mi reminiscencje kryzysowe. Tylko ludzie niezbędni mogli liczyć na zachowanie pracy w czasie redukcji. Przy tym lektura i adiustacja artykułów była pouczająca, ponadto zaś dawała pozycję nie tylko już wykonawcy, ale i decydującą o kształcie numerów i kierunku czasopisma.

Ostatecznie więc zachowałem tytuł sekretarza redakcji i związany z tym przywilej zwolnienia z obowiązku pisania w ramach przymusowej wierszówki. Jednocześnie obyło się bez formowania sekretariatu redakcji. Było to niepotrzebne, skoro tak czy owak wszystko musieli robić osobiście redaktor naczelny i sekretarz redakcji.

Z miesiąca na miesiąc rozszerzałem informację, szeregując ją w odrębne działki, jak przemysł, planowanie, spółdzielczość, finanse itp. Było to bardzo po myśli Szczepanika, który wyznawał zasadę pączkowania — odrywania się rubryk od macierzystego organu i kształtowania się jako nowych, odrębnych czasopism. Początkowo stosowana była zasada uderzania w punkt najmniejszego oporu, a więc zagarniania tematyki nie mającej swego ujścia na istniejącym rynku wydawniczym. W ten sposób bez konkurencji osiągnano efekty wyrażające się przygotowaniem

terenu przez „Życie Gospodarcze”, przyciągnięciem zainteresowanych czytelników i daniem im samodzielnego czasopisma.

Tak powstawały miesięczniki: „Rachunkowość i Podatki”, „Przegląd Ustawodawstwa Gospodarczego”, „Biuletyn Finansowy”, „Gospodarka Materiałowa”, „Inwestycje w Przemysle”, „Gospodarka Rybna”, kołoszytowiec „Teksty Ustawodawstwa Gospodarczego” i inne, w tym „Przegląd Rynkowy”, późniejsza „Gazeta Handlowa”.

Jak z tego widać, poza „Gospodarką Rybną” były to czasopisma obejmujące tematykę funkcjonalną, mogącą zainteresować pionierzy funkcyjne wszystkich gałęzi gospodarki. Na treść składały się oczywiście wszelkie osiągalne informacje mogące interesować fachowców, jak księgowi, pracownicy komórek finansowych czy inwestycyjnych, a więc okólniki, zarządzenia itp. Poza tym rozwinięty był dział szkolenia, porad technicznych. Kształtował się dział artykułowo-publicystyczny, wyrastający z zaleceń aktualnej polityki gospodarczej i budowy systemu socjalistycznego, osobowo zaś z kierownictwa resortów planowania i finansów, a także poszczególnych ministerstw branżowych i aktywu stowarzyszeń takich fachowców, jak księgowi itp. Oczywiście, kształtowanie takiej redakcji zaczynało się już na łamach „Życia Gospodarczego” w poszczególnych rubrykach, gdzie szpałty informacji dostawały z czasem „główkę” w postaci artykułu, po czym dział odrywał się, przekształcając w odrębną redakcję. Ubożyło to oczywiście sam dwutygodnik macierzysty, na którego łamy nie trafiały już artykuły fachowe branży, która dostąpiła usamodzielnienia się wydawniczego. Cóż było robić! Szukaliśmy rozszerzenia tematyki o sfery dotychczas nie traktowane piórem lub zdobywaliśmy artykuły branżowe tak poważne, że jednak dotyczyły zagadnień interesujących wszystkich działających w gospodarce.

Lata 1946, 1947, 1948, a nawet 1949 były okresem tego pączkowania, z którego wyrastał prawdziwy koncern wydawniczy. Mimo stwarzania dla „Życia Gospodarczego” konkurencji w rodzimym wydawnictwie sam dwutygodnik powiększał nakład. Z paru tysięcy w pierwszych numerach wzrósł do 9 tys. egzemplarzy w 1948 r., a ponieważ punktem odniesienia były nakłady prasy gospodarczej przed wojną, trzeba to osiągnięcie uznać za duże.

Czasopisma-pączki były jednak tylko placówkami na terenie niczym, nieco peryferyjnym. Głównym celem gospodarki trójsektorowej, ale oscylującej ku socjalizmowi, było stworzenie potężnego, upaństwowionego przemysłu, odbudowanego i rozbudowanego kosztem wszystkich innych działów gospodarki. Nie ulegało wątpliwości, że rosnący ten moloch nie będzie mógł obyć się bez własnej prasy. W pierwszym okresie powojennym reaktywowały się czasopisma specjalne, jak „Przegląd Techniczny”, „Górnik”, „Wiadomości Hutnicze”, „Przemysł Skórzany” i inne, mające oparcie bądź w aktywie inżynierskim danego przemysłu, bądź w silnych branżowych związkach zawodowych. Jedne z tych czasopism miały charakter techniczny, inne społeczny, obie grupy jednak nie rozwijały tematyki gospodarczej. Samo Ministerstwo Przemysłu i Handlu wydawało biuletyn informacyjny, z którego korzystała cała prasa: agencje, periodyki, dzienniki.

Jednak w połowie 1946 r. wydający ten biuletyn Wydział Prasy i Propagandy Ministerstwa Przemysłu i Handlu (naczelnik Julian Podoski) miał już przygotowaną koncepcję wydawania miesięcznika „Przemysł”. Miał on być głównie przeciwwagą dla wpływów Centralnego Urzędu Planowania, którym kierował Czesław Bobrowski. Wiadomo zaś było powszechnie, że Minc (MPH) i Bobrowski (CUP) to ogień i woda — żywiły nie do pogodzenia. Szło przede wszystkim o system gospodarki: Bobrowski forsował metody ekonomiczne, Minc zaś nakazowe. Ta sprzeczność była w opinii publicznej kamuflowana różnymi zasłonami dymnymi, jak spór o gospodarowanie bez rezerw czy też z rezerwami, itp. Potem w Chinach poszczególne frakcje obrzucały się inwektywami, zawołowanymi różną interpre-

tacją starego Konfucjusza. Polski spór skończył się wraz z Kongresem Zjednoczeniowym Partii Robotniczych i wyeliminowaniem z życia publicznego Czesława Bobrowskiego, który udał się na emigrację i działał jako doradca ekonomiczny różnych krajów (podobnie jak czasowo Oskar Lange). Natomiast Hilary Minc stanął na czele Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, mającej koordynować m.in. kilkanaście branżowych ministerstw przemysłowych, jakie właśnie wyłoniły się z Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Szczepanik, rozwijając koncern „Życia Gospodarczego”, pilnym okiem obserwował zamierzenia Minca. I nie on sam. Kiedy Bobrowski organizował miesięcznik „Gospodarka Planowa”, której redaktorem został wilnianin Kaduszkiewicz, oznaczało to pojawienie się na rynku czasopism gospodarczych poważnego konkurenta. Gdyby ukazał się jeszcze mincowski „Przemysł”, mogłoby już być ciasno. Do Minca jako ewentualny realizator „Przemysłu” „uderzał” Gruchała, dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego w Bytomiu i redaktor miesięcznika „Przemysł Skórzany”.

Takie były siły i walory konkurentów. Jak została rozegrana batalia?

\*

„Życie Gospodarcze” miało od początku silne powiązania z przemysłem, choć pierwszą symbiozę urzeczywistniało ze spółdzielczością. Wszakże ogłoszenia przemysłowe umożliwiły, wraz z anonsami spółdzielczymi, wydanie pierwszych kilku numerów dwutygodnika, a można też przypuszczać, że między spółdzielców i przemysłowców wciśkał się kolportaż czasopisma, a może i prenumerata.

Kontakty osobiste zarówno w „Życiu Gospodarczym”, jak i w Ministerstwie Przemysłu i Handlu — z zamiarem bezpośredniego dotarcia do Hilarego Minca — zaczęła nawiązywać i rozszerzać Stefan Gruchała. Z tą barwną osobistością zetknąłem się już w pierwszych dniach niewoli wojennej, pod koniec kampanii wrześniowej 1939 r., w Szczytnie, gdzie zorganizowano duży obóz przejściowy dla jeńców oficerów polskich, przed rozesłaniem ich po przygotowanych oflagach. [...] Potem zniknął on na długo z pola mego widzenia i dopiero na przełomie 1945 i 1946 r. w czasie jakiegoś wieczoru urządzanego w Katowicach przez Instytut Śląski, gdy przemawiałem w dyskusji, usłyszałem z sali: „A toż to przecież Werner”. Był to głos Gruchały. Wymieniliśmy w przerwie parę słów. Gruchała nosił się wysoko, ale dowiedziawszy się, że wróciłem do dziennikarstwa, okazał mi swoje zainteresowanie. Był dyrektorem Bytomskiego Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego i redaktorem „Przemysłu Skórzanego”, miesięcznika redagowanego i wydawanego przez branżę w centrali łódzkiej.

„Życie Gospodarcze”, jak już wspominałem, wydawało numery specjalne, poświęcone głównie branżom przemysłowym. Zdaje się, że chciano również wydać numer o przemyśle skórzanym. Ale Gruchała pilnował wydawnictw tej branży, chciał wykazać się jej własnym dorobkiem wydawniczym, „wskakując” jednocześnie w mincowską koncepcję edytorską o charakterze przemysłowo-ekonomicznym. Znalazł też drogę do Eugeniusza Szyra, który zaraz po wojnie działał w Katowicach jako łącznik polski przy radzieckim dowództwie zaplecza śląskiego dla radzieckiej armii okupującej Niemcy Wschodnie, potem zaś pozyskany został przez Minca na zastępcę w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Gruchała chciał opanować przyszy „Przemysł”. Do tego trzeba było walczyć z koncepcjami wydawniczymi Centralnego Urzędu Planowania (Bobrowski) i w tym działaniu zjednoczyć się ze Szczepanikiem. Minc i Szyr mieli na głowie ważne sprawy ekonomiczne całego kraju, toteż Wydział Informacji i Propagandy MPH prowadził i „maczał palce” w organizowaniu „Przemysłu” ich pełnomocnik, red. Julian Podoski, przedwojenny współpracownik „Kurieru Warszawskiego”. Stary dziennikarz przedwo-



jenny, Szczepanik prędzej znalazł sposoby na starego dziennikarza przedwojennego Podoskiego niż młody dyrektor przemysłu skórzanego na młodych stażem wice-ministra i ministra przemysłu i handlu PRL. Giętki Gruchała, obracający się na co dzień w Bytomiu i Katowicach, nie mógł nie nawiązać bliższych kontaktów ze Szczepanikiem i Mańkowskim [...]

Ostatecznie w 1946 r. doszło do przełomowych zmian w spółdzielni wydawniczej. Jej zarząd przechodził w ciągu pierwszego roku istnienia kilka przetasowań osobowych: Przewijali się w jego składzie działacze (dyrektorzy) „Społem”, Izby Rzemieślniczej, przemysłu śląskiego, Narodowego Banku Polskiego (Oddział Katowicki). Kiedy w połowie tegoż 1946 r. MPH zrezygnowało ostatecznie z wydawania czasopisma „Przemysł”, zawarło umowę wydawniczą ze Spółdzielnią Wydawniczą „Życie Gospodarcze”. Do Rady Nadzorczej weszli trzej dyrektorzy departamentów ministerstwa: T. Gede, T. Piętaś i S. Wojciechowski oraz naczelnik Julian Podoski. W składzie zarządu znalazł się też Stefan Gruchała, jako mąż zaufania Minca i Szyra.

Wiceminister Szyr wydał natychmiast okólnik do wszystkich jednostek przemysłowych w sprawie prenumerowania „Życia Gospodarczego” oraz sugerował ogłaszanie się w nim. Wpływy z ogłoszeń skoczyły zaraz do 11 tys. zł na numer.

Wydawnictwo pączkowało coraz to nowymi czasopismami, a także (w osobach A. Szczepanika i H. Tomiczka) powiększyło się o łódzką Spółdzielnię dziennikarską „Prasa” oraz warszawską spółkę z oo. „Polska Agencja Gospodarcza”, która wprawdzie uległa po paru latach likwidacji, ale pozostawiła „Życiu Gospodarczemu” lokal przy ul. Foksal 15. Również spółdzielnia dziennikarska „Prasa” nie istniała już w 1950 r. Znaczną rolę w dziele rozwijania koncernu odegrał Henryk Tomiczek, do którego osoby powrócę jeszcze.

Na razie odrębny rozdział należy się Gruchałemu. Wszedł on do zarządu spółdzielni i wraz ze Szczepanikiem i Mańkowskim stanowił triumwirat rządzący. O ile jednak Szczepanik rozszerzał koncern dla samej miłości interesu, tym piękniejszego, im bardziej się rozkręca, Mańkowski zaś upajał się nową epoką i chciał przemiany wzbogacić o blask idealistycznego poloru własną działalnością publicystyczną, o tyle Gruchała zamierzał wszelkimi środkami dojść do pieniędzy i do znaczenia. Wszedłszy do „Życia Gospodarczego” w momencie, gdy przegrał stawkę o „Przemysł”, uzurpował sobie stanowisko męża zaufania Minca i Szyra. Spróbował też pióra na łamach dwutygodnika. Numer 14 rocznika 1946, datowany 15 lipca, otworzył nową erę czasopisma; powiększyło ono objętość, zmieniło winietkę, która pozostała już potem na długo. Numer otwarto artykułem E. Szyra *Na drodze przemian gospodarczych*. Zaraz potem Gruchała zamieścił artykuł *Ku polskiej doktrynie ekonomicznej*, wyjmujący z całej problematyki przekształceń ekonomicznych kraju jedną tezę, która podkreślała możliwość rozwiązań nie trzymających się ślepo rozwiązań dotychczasowych, prezentowanych przez kraje socjalistyczne, natomiast uwypuklała możliwości rozwoju sektora prywatnego. Powtórzył zapowiadaną przez Szyra myśl o rozszerzeniu „Życia Gospodarczego” jako platformy dyskusji ekonomicznej. „Ze szczególną uwagą — pisał — »Życie Gospodarcze« będzie śledziło gospodarkę przemysłową. Wszelkie przejawy jej pracy, jej organizację, wzajemne powiązania, wytyczne dla jej rozwoju, organizację produkcji i zbytu — oto tematyka, jakiej czasopismo to poświęci znaczną część swych łamów. Grono współpracowników zostanie w ten sposób znacznie rozszerzone, wszyscy ekonomiści i praktycy życia gospodarczego, bez względu na to, jakim warunkom ekonomicznym hołdują, powinni współpracować w czasopiśmie, którego hasłem jest: »Polscy ekonomiści budują polski model gospodarczy«”.

Artykuł był krótki, na jedną zeszytową kolumnę, i widać było, że autor — poza podjęciem wygodnych mu hasel — niewiele ma do powiedzenia.

Mimo to w numerze następnym (15) Gruchała otwierał zeszyt pozycją *Trzech-*

letni plan odbudowy gospodarczej, a w końcu numeru, pod pseudonimem St. Węsierski, pisał o organizacji przemysłu prywatnego. W tym numerze otwarty został nowy dział, poświęcony zagadnieniom prywatnego sektora gospodarki. Znalazło się tam również zdanie o możliwości stworzenia w Ministerstwie Przemysłu i Handlu stanowiska wiceministra do spraw przemysłu prywatnego i rzemiosła i postulat przeorganizowania izb przemysłowo-handlowych.

Numer 16 kontynuował rubrykę o gospodarce prywatnej, natomiast w nr. 17 czołówkę stanowił wyjątek z przemówienia H. Minca dotyczący nożyc cen, zaś artykuł *Materiały do dyskusji*, autorstwa Gruchały, stanowił głoskę do przemówienia Minca, traktującą o sektorze prywatnym i spółdzielczym. [...]

Drugim posunięciem Gruchały, poza wejściem do kierownictwa „Życia Gospodarczego” i sterroryzowaniem założycieli spółdzielni, było bezpośrednie zwrócenie się do H. Minca o fundusze na gazetę codzienną. Miała się nazywać „Dziennik Gospodarczy”, a wychodzić w Bytomiu, pod bokiem Gruchały. Musiał on przekonać szefa gospodarki narodowej, że skoro odstąpił od koncepcji miesięcznika („Przemysł”) na rzecz współpracy z dwutygodnikiem, to dobrze będzie również założyć gazetę. Minc, pracujący z ramienia PPR z PPS, ale i mający z nią utarczki (Bobrowski i inni), a myślący zapewne już o pracach nad zjednoczeniem partii robotniczych (co nastąpiło rzeczywiście w dwa lata potem), chciał niewątpliwie mieć do dyspozycji dziennik, choćby na razie gospodarczy, choćby i w Bytomiu. Zgodził się zatem i dał pieniądze.

Gruchała przystąpił więc do zorganizowania gazety. Jakaś porzucona przez hitlerowców maszyna rotacyjna, odcyszczona i doprowadzona do używalności, przyjechała z Ziemi Zachodnich do Bytomia. Znalazły się linotypy, również odbrotowane od zniszczenia, a także kaszty z czcionkami, m.in. z petitowymi i borgesowymi znakami Zodiaku. Poczyniono przygotowania do zorganizowania kolportażu. W dziele tworzenia bazy drukarskiej i kolportażowej szybkie i znakomite rezultaty osiągnął Feliks Fikus, przedwojenny dziennikarz poznański, który zaangażowany przez Gruchałę, związał się potem z „Czytelnikiem” Borejszy.

Organizowaniem zespołu redakcyjnego zająć się miał Kazimierz Ciechimski, w 1945 r. redaktor naczelny krakowskiego oddziału „Polpressu” na Śląsku, wiceprezes Śląsko-Dąbrowskiego Oddziału Związku Zawodowego Dziennikarzy. [...] Jemu to zlecił Gruchała przygotowanie makiety numeru przyszłego „Dziennika Gospodarczego”. Obarczony tym zleceniem, wykręcał się, jak mógł. Mógł dużo, ale nie mógł skompromitować się jako fachowiec. Gdy spotkaliśmy się przypadkowo w jakiejś sprawie związkowej, zwierzył mi się z kłopotu, a kiedy usłyszał ode mnie, że makietą to głupstwo i drobiazg, zaprosił mnie do wspólnego jej przygotowania. Wzięliśmy egzemplarz jakiejś miejscowej gazety, nalepiliśmy winietę tytułową, przygotowaną ręcznie na pasku papieru, ponalepialiśmy skomponowane *ad hoc* tytuły: artykułów, felietonów, depesz, rubryk informacyjnych itp., klejąc pod różnej szerokości szpaltowej tytułami będące atrapą treści szpalty druku. z ćwiartowanego bezlitośnie egzemplarza służącego za surowiec.

Byliśmy zadowoleni z dzieła, które jednak nie podobało się Gruchale. Ciechimski przybiegł do mnie spłoszony, więc znów wspólnie przerobiliśmy makietę, odrzucając wszakże niektóre pomysły Gruchały. [...] W tych tarapatkach Ciechimski pojął, że nie zna dostatecznie technicznej strony redagowania gazety, i chciał się wycofać ze sprawy, ale Gruchała był twardy i nie zgodził się na to. Przerazony Ciechimski, przyparty do muru, stwierdził, że pozostanie w redakcji „Dziennika Gospodarczego”, ale pod warunkiem że i ja wejdę do redakcji. Gruchale było to nie w smak, bo z jednej strony widział, że bez mojej pomocy zwiększone zadania „Życia Gospodarczego” nie zostaną wykonane, z drugiej zaś wiedział już, że mam pewne zasady życiowe i nie odstąpię od nich za pieniądze. Mimo wszyst-

kie te zastrzeżenia, ponieważ czas naglił, zwrócił się do mnie z propozycją pracy w „Dzienniku Gospodarczym”.

Mając dość pracy w dwutygodniku i w referacie prasowym hutnictwa, odrzuciłem propozycję, z czego Gruchała raczej się ucieszył. Ale Ciechimski nie ustąpił, więc ustąpiłem ja. Zażądałem tylko stanowiska sekretarza redakcji, na co moi rozmówcy zgodzili się od razu.

Ostatecznie — Gruchała występował jako redaktor naczelny. Jednym jego zastępcą został Ciechimski, drugim zaś dotychczasowy pracownik Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego w Bytomiu Zygmunt Jolles, działający potem w dyrekcji Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, a następnie w RSW „Prasa”. Sekretarzem byłem ja; w redakcji pracowali również Tadeusz Jaworski, Marian Sikora (obaż z Krakowa), Sokołowski i jeszcze parę osób. [...]

Aby przesiąść się całkowicie na konia redakcyjnego, a nawet na ich parę, postanowiłem zwolnić się z referatu prasowego w przemyśle hutniczym. Mój wniosek o zwolnienie, i to natychmiastowe, wywołał wręcz burzę. Antoni Librowicz, kierownik działu informacji i propagandy, był zdruzgotany. Przez rok z górami prowadziłem biuletyn informacyjny dla prasy, interesujący i wykorzystywany przez redakcje. Nie bardzo było kim mnie zastąpić. Gruchała, jako pełnomocnik Minca, przełamał jednak wszystkie opory. [...]

\*

Redakcja działa zawsze wówczas, kiedy ma co robić, to znaczy musi przygotowywać kolejne numery i realizować je wspólnie z drukarnią. W okresie początkowym powinna montować numery próbne w maszynopisach, i to tym częściej, im bardziej zbliża się czas wydrukowania rzeczywistego numeru, jaki ma wejść na rynek. Można oczywiście założyć tekę publicystyczną, jednak w dzienniku nie powinna ona wybiegać poza dwu- lub trzydniowy zapas. W przeciwnym razie materiał dezaktualizuje się. Toteż nie należy martwić się, że ćwiczebne numery gazety będą szły do kosza. Konieczność przystępowania codziennie do pracy od początku jest charakterystyczna dla gazety i utrzymuje w kondycji zespół. Oczywiście, trzeba wiedzieć, czego się chce, jaki jest program dziennika i jego ustosunkowanie się do faktów, jakie przyniósł dzień dzisiejszy i jakie przyniesie jutro.

Próbowaliśmy określić to na codziennych spotkaniach zespołu. Niestety, nikt nie wiedział, o co chodzi, poczynając od głównego organizatora. Oczekiwał on inicjatywy od zespołu, zespół zaś inicjatywy od niego. Nie ustalono, jakie mają być zakresy kroniki lokalnej i krajowej, stosunku informacji ogólnej do gospodarczej, nie przedyskutowano pozycji własnej w stosunku do zjawisk bogatej przecież w fakty i różne tendencje rzeczywistości. Gruchała wykazał zadziwiający brak wyobraźni i fantazji. Mógł ustosunkować się do konkretnej notatki czy artykułu, ale nie doceniał konieczności „ćwiczeń” dziennikarskich, wspomnianych wyżej. [...]

Najmniej uwagi zwracała na siebie młoda dziennikarka, przybyła z Krakowa z matką. Nie pamiętam jej nazwiska i nie wiem, co się z nią potem działo. Również mało odciska mi się we wspomnieniach red. Sokołowski, wysoki, bardzo suchy blondyn, starannie wygolony, stojący w rozmowach twardo na pozycji partyjnej. [...] Jolles był uprzejmy, nie narzucający się ze swym zdaniem, unikający afiszowania się. [...]

Najbardziej energicznym członkiem zespołu był przybyły z Krakowa Tadeusz Jaworski. Pochodził z Dąbrowy Górniczej, gdzie urodził się w 1917 r. Mając siedem lat wyjechał z rodzicami, emigrującymi do Francji zarobkowo. Po pięcioletnim pobycie we Francji wrócił do kraju i uczył się w Tarnowskich Górach, gdzie zdał maturę w 1935 r. Studiował humanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim

i uzyskał absolutorium, po czym wojna przerwała te studia. Chętnie recytował Homera po grecku. Miał ogromny pęd do nauki. Jednocześnie — studia krakowskie prowadził na odległość — wysłuchał czterech semestrów w Warszawskiej Wyższej Szkole Dziennikarskiej, uczył się języków i zaczął pracę zarobkową w książkowej redakcji Instytutu Techniki Lotniczej. Okres okupacji spędził jako praktykant rolny. Po wojnie zaczął pracę w krakowskim oddziale „Polpressu” i został (chyba przez Ciechimskiego) ściągnięty do Bytomia, gdzie postarał się o mieszkanie dla rodziny i siebie. Jaworski był niezmiernie ciekawy życia i miał ciągle niezaspokojoną ambicję, chwytając się wszelkich możliwych form pracy i działania, łącznie ze związkowym, ale nie politycznym, pozostając bezpartyjnym.

Dyskusje redakcyjne pod wpływem bezczynności zaczęły nabierać tonu pesymistycznego, choć jeszcze nie krytycznego. Gruchała bardzo to denerwowało i pewnego dnia po jakiejś mojej uwadze wystąpił z ostrą repliką, atakując nieaktywny, „hemoroidalny” stosunek do spraw dziennika. Acz bezosobowe, uwagi te skierowane były wyraźnie pod moim adresem. [...] Stało się to przyczyną mego rozstania się z „Dziennikiem Gospodarczym”. Sekretarzem został na moje miejsce Tadeusz Jaworski.

\*

Przejście „Życia Gospodarczego” pod bezpośrednią opiekę Ministerstwa Przemysłu i Handlu miało poważne skutki dla dwutygodnika. Dorywczo już wspomniałem o nowym kierunku programowym. Były to zagadnienia uprzemysłowienia kraju, uprzemysłowienia socjalistycznego. Od leninowskiego planu GOELRO, poprzez stalinowskie pięcioletki radzieckie, do powojennego obozu socjalistycznego dogmat socjalistycznej industrializacji, z bezwzględnym prymatem przemysłu ciężkiego, upowszechniał się i rósł w potęgę. Na Górnym Śląsku, w krainie hut, kopalń, elektrowni i przemysłu wielkiej chemii, nie budziło to żadnych oporów. Przeciwnie, polityka ta pozyskiwała dla nowego ustroju liczną kadre inteligencji technicznej i masy robotnicze.

Szczepanikowski program pączkowania dwutygodnika otrzymał w związku z tym nowe bodźce. W tej sprawie niezwykle aktywnym pomocnikiem prezesa spółdzielni wydawniczej okazał się Henryk Tomiczek. Ten rdzenny Ślązak z Raciborszczyzny studiował ekonomię w Krakowie, odbył służbę wojskową w podchorążówce, wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 r., siedział w oflagu, wreszcie po wojnie przyłączył się do Szczepanika. Już w lipcu 1946 r. zahaczył się jako pracownik ryczałtowy, od października zaś do stycznia 1950 r. był redaktorem wydawnictw nieperiodycznych, redaktorem działu w „Życiu Gospodarczym”, pełnomocnikiem Zarządu do Spraw Wydawniczych, m.in. na międzynarodowy kongres intelektualistów we Wrocławiu, a także pracował w wystawiennictwie krajowym i zagranicznym, które przez jakiś czas było jedną z dziedzin pracy spółdzielni wydawniczej. Tomiczek był z usposobienia akwizytorem. Akwirował artykuły i inne teksty, anonse i subsydia, nawiązywał i podtrzymywał kontakty, przy czym usta nie zamykały mu się ani na moment — do chwili aż odezwał się rozmówca. Wówczas słuchał uważnie, następnie znów mówił okrągłymi zdaniami, formułując wnioski i ustalenia, po czym zniknął. Szczepanik wystarał się o roczny bilet kolejowy dla spółdzielni i nie znosił, żeby ten cenny dokument nie pracował. Wobec tego jeździł z Katowic do Warszawy, Krakowa, Łodzi, Szczecina, Wrocławia, a Tomiczek dublował go bezbłędnie. Obaj motali niezliczone nici kontaktów, porozumień i umów, zdobywali zlecenia dla rozwijającego się przedsiębiorstwa, pracowali tak, jak pracował pieniądz włożony w wydawnictwo. [...]

W zakresie samej redakcji „Życia Gospodarczego” Tomiczek organizował nadliczbowe numery monograficzne. I tak ukazały się m.in.: nr 5 z 28 II 1946 r. po-

święcony przemysłowi hutniczemu, nr 11 — włókienniczy, nr 12—13 poświęcony przemysłowi metalowemu; w 1947 r. nr 6 poświęcony był przemysłowi chemicznemu, nr 7 przemysłowi elektrotechnicznemu, nr 16 w całości gospodarce Ziemi Odzyskanych (146 stron, cena egz. 200 zł), nr 21 z 16—30 XI — Międzynarodowemu Miesiącowi Spółdzielczości. Nr 7 rocznika 1948 poświęcono rzemiosłu (cena 300 zł za egz.), nr 14 z lipca—sierpnia wrocławskiej Wystawie Ziemi Odzyskanych.

Każdy z tych numerów zawierał artykuł kierownika branży przemysłowej: pozycje poświęcone zaopatrzeniu, produkcji, zbytowowi, eksportowi, zagadnieniom socjalnym załóg. Byli to autorzy rekrutujący się spośród kierownictwa odpowiedniego Centralnego Zarządu czy organizacji, a także dyrektorzy głównych przedsiębiorstw branży. Dzięki temu finansowanie drogą pakietu ogłoszeń czy może refundacji wydatków wydawniczych z kont dyspozycyjnych nie przedstawiało trudności. Wkładem redakcyjnym był reportaż z wybranego zakładu pracy, pisany na modłę przedwojennych kryptoreklamowych artykułów monograficznych, towarzyszących inseratom w szczepanikowskiej „Gazecie Handlowej” owej epoki. Specjalistą w pisaniu tych reportaży był w „Życiu Gospodarczym” dr Emil Kipta, przedwojenny komornik katowicki, żyjący ongiś z protestów wekslowych. [...]

Wiosną 1947 r. Gruchała został wezwany w celu złożenia jakichś wyjaśnień w związku z gospodarką bytomskiego Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego, po czym zatrzymano go. [...] Z postawionych sobie zarzutów chyba wywinął się, gdyż po pewnym czasie został zwolniony z aresztu. Jednakże jako *homo publicus* skończył się bezpowrotnie. Pojawił się kiedyś i w „Życiu Gospodarczym”, ale już jako pełen dezynwoltury gość na krótkie chwile. [...]

O jego „śmierci cywilnej” może świadczyć fakt, że w numerze specjalnym „Życia Gospodarczego” poświęconym Ziemiom Odzyskanym (nr 16 z września 1947 r.) artykuł o przemyśle skórzanym na tych ziemiach, pióra niewątpliwie Gruchały, oznaczony został jako autorstwa anonima, sygnowanego trzema gwiazdkami, a nazwisko b. dyrektora Zjednoczenia znikło z życia publicznego. [...]

\*

W chwili powiązania się „Życia Gospodarczego” z Ministerstwem Przemysłu i Handlu moja pozycja wzrosła. Mówiłem już, że zaabsorbowanie Szczepanika i Mańkowskiego sprawami rozwijania czasopisma i budowy koncernu, jak też zaciekle ich walka z Gruchałą spowodowały wzrost moich obowiązków redakcyjnych w zakresie zapewnienia informacji. Poza tym — wyjście czasopisma z opłotków spółemowsko-przemysłowych na szeroką arenę gospodarki ogólnokrajowej (w oparciu o ideę industrializacji) stworzyło potrzebę publicystyki propagującej ekonomikę socjalistyczną, opartą na planowaniu i uwypuklaniu roli państwa w gospodarce. Zaczęłem pisać artykuły na kanwie aktualnych wydarzeń. Moją pierwszą pracą tego typu była pozycja w numerze specjalnym poświęconym przemysłowi hutniczemu, którego referentem prasowym wówczas jeszcze byłem. Po perypetiach z „Dziennikiem Gospodarczym” napisałem do nr. 3 z 1947 r. artykuł *Polska a przyszłość gospodarcza Niemiec*, umieszczony na zaszczytnym drugim miejscu. Wykorzystałem jako asumpt ożywienie polityczne wokół Niemiec i ich rozbicia na strefy okupacyjne oraz doświadczenia, a raczej moje obserwacje ekonomiki wojennej Trzeciej Rzeszy, poczynione na podstawie lektury w czasie pobytu w obozach jenieckich, wreszcie materiały Instytutu Śląskiego i Instytutu Zachodniego, wydawane tuż po wojnie.

W numerze 4 przypadła mi czołówka nawiązująca do powyborczej sesji parlamentarnej. W nr. 5 otwierałem znów treść czołówką o nowych układach gospodarczych Polski, ZSRR i Czechosłowacji. W nr. 9 (maj) pisałem o planie inwestycyjnym; w nr. 11 pogłębił ten temat nie byle kto, bo prof. K. Secomski. W ślad

za nim pisali: w nr. 12—13 (lipiec) Bronisław Blass *Budżet czy plan finansowy*, zaś w 16 Bronisław Minc o problemach planu inwestycyjnego na rok 1948. [...]

Nie można zapomnieć o Kronice czasopisma, a wraz z tym o felietonie „Na fali”. Józef Mańkowski, jego stały autor, pisał w nr. 7 z 1946 r.: „Rubryka »Na fali« ma na celu wytykanie błędów, prostowanie krzywizn i ośmieszanie paradoksów, powstałych z powodu niezrozumienia ducha idącej epoki i stosowania fałszywych metod postępowania. Rubryka ta powinna mieć troskliwość ojcowską, pobłażliwość matki, beztroski humor dziadka i gorliwość tych, którzy najbardziej są przywiązani do rodziny, pragnąc jej szczęścia. Stąd też rubryka ta, jeżeli smagnie biczem, to bez uczynienia szkody, jeżeli wytknie błędy, to bez jadu. Jeżeli coś określi dobitnie, to jedynie w celu naprawy zła”. W rzeczywistości felietony zawierały często-gęsto zabarwienie *Schadenfreude*. Grono wytykaczy nadsyłało Mańkowskiemu dużo materiału, a po wydrukowaniu felietonu komplementowało go w kawiarni.

Trwało to przez rok. Mańkowski szukał w felietonach ucieczki przed imperywnościami Gruchały, a kiedy ten wpadł, felietonistę opanowała euforia. Stracił miarę i „wyrznął” następujące uwagi (nr 6 z 15 kwietnia 1947): „Nikt dziwić się nie może, kto zna psychikę polską, że dziś — w epoce wielkich przemian, jakże burzliwych i trudnych do przeniknięcia — naród nasz szuka dla siebie swoistych form bytowania. Ale bezstronnie musimy stwierdzić, że poczesne miejsce przy realizacji powziętych decyzji zawsze zajmowały przejawy nieumiejętnej koordynacji, które tworzyły taką swoistą formę bytowania. Tak było dawniej i tak jest dzisiaj. Rzućmy chociażby pobieżnie okiem na kształtowanie się naszej rzeczywistości. W rządzie koncepcję gospodarczą reprezentuje minister Minc. Prawą jego ręką i dynamiką jest wiceminister Szyr. A ponieważ dynamika pragnie prześcignąć koncepcję, a koncepcja idzie w zawody z dynamiką, wyścig ten w zgodnym współdziałaniu wytworzył taki wir koncepcyjno-dynamiczny, że wszystko zaczęło weń wpadać. Wszystko zaczęło wirować i szyromincować”. (Po czym zaczęła się krytyka zażebień kompetencyjnych i powikłań, a także krytyka wzrostu cen, także w jego ukrytej postaci.)

Przypuszczam, że Minc i Szyr przeszli nad tym do porządku, ale zapewne jakiś bizantyjszczy partyjni i biurokratyczni, budujący autorytety formalne, aby prosperować w ich cieniu, donieśli to i owo tam i ówdzie. W ten sposób cytowana „Fala” była ostatnią na łamach „Życia Gospodarczego”. Mańkowski odezwał się jeszcze 1 stycznia 1948 r. czołówką *Dwa lata*. Jubileusz ten (pojedyncze lata wystarczały wówczas do świętowań i wspomnień) okraszony został uwagami, życzeniami z faksymiliami podpisów Konstantego Dąbrowskiego, E. Szyra, T. Dietricha, B. Blassa, J. Żerkowskiego, W. Fajansa, E. Kwiatkowskiego, Witolda Krzyżanowskiego. Była też lista piszących przez te dwa lata autorów (bez Gruchały, ale z uwzględnieniem pozycji podpisanej przez niego pseudonimem „Węsierski”).

W połowie 1947 r. Mańkowski, nie publikujący nazwiska w „Życiu Gospodarczym”, zaprzestał też wyjazdów do Warszawy, aby prezentować w odbitkach drukarskiej rewizji kolejne numery pémomocnikowi Minca (zwykle w randze dyrektora departamentu). Jak dalece przeglądy te były powierzchowne, może świadczyć fakt, że zaprezentowany wraz z innymi materiałami felieton „Na fali” przeszedł bez wrażeń. Niemniej Mańkowski zawiesił podróże do Warszawy, a ja wskoczyłem na jego miejsce. Procedura była taka, że jechało się na noc wagonem sypialnym, przedstawiało się w MPH odbitki, po które przyjeżdżało się z końcem godzin urzędowania. Czas poza tym był wolny. W dzień odwiedzałem przyjaciół i znajomych, wieczorem zaś wpadałem do teatru. W Teatrze Polskim sekretarzem był kolega z teatrów jenieckich, Pastuszko. U niego zawsze mogłem dostać kartkę na rezerwowane miejsca. Pamiętam przedstawienia *Lilli Wenedy* z Barszczewską, *Wesołych Kumoszek z Windsoru* i *Grubych Ryb* z Solskim. Kiedy pewnego razu,

godzinę przed spektaklem wychodziłem od Pastuszki z kartą wstępu i opuszczałem teatr bocznym wyjściem, na Oboźną, aby jeszcze coś zjeść na mieście, spotkałem się nos w nos z Solskim. Ustąpiłem mu przejścia, ale wspaniały aktor był nienagannie uprzejmy i dał — według wszystkich przepisów *savoir-vivre'u* pierwszeństwo wychodzącemu. Znając niepospolitą żywotność Solskiego, choć i ponad osiemdziesiątkę na jego karku, nie uznałem za stosowne głośno mu o jego wieku mówić, nie chciałem go też nudzić naiwną rewerencją widza, więc udałem, że go nie poznaję. Ukloniliśmy się sobie parę razy, wreszcie... przeszedłem pierwszy, widząc kątem oka, iż starszy pan był ogromnie zadowolony z tego, że wyszedł na uprzejmiejszego.

Po jednym z takich wypadków warszawskich znalazłem się wśród pluchy i zawięzi na peronie dworcowym i szybko wepchnąłem się do przedziału sypialnego (a upychano w nich po pięciu pasażerów). Przebrałem się i zmęczony nocą w wagonie oraz dniem w Warszawie dałem nurka pod koc. Niestety, zaraz potem zaczął mnie molestować ktoś przybyły, pokazując bilet z numeracją mego miejsca. Odchodzili wówczas, z różnicą zaledwie pół godziny, dwa pociągi do Katowic. Zaczęliśmy dyskusję, kto ma prawidłowy bilet. Okazało się, że spóźniony przybysz. A tu konduktorzy zaganiiali z peronów ostatnich maruderów. Narzuciłem ubranie na piżamę, wskoczyłem w niesznurowane obuwie, złapałem płaszcz, kapelusz i teczkę z odbliskami „Życia Gospodarczego”, wreszcie wyskoczyłem z wagonu w ostatniej chwili. Czas do podstawienia następnego pociągu spędziłem na porządkowaniu wśród deszczu i wiatru garderoby, przypominając sobie moje niezawodne rekordy alarmowe w podchorążówce i pułku.

Poza wyczynami publicystycznymi i podróżniczymi muszę zanotować z tego czasu współudział w organizacji zespołu redakcyjnego. W pierwszej fazie chodziło o Janusza Litwina i dr. Sukiennickiego.

Janusz Litwin jako młody chłopak brał udział w powstaniu warszawskim, rzucając się z gołymi rękami, jak większość jego oddziału, na Niemców, żeby zdobyć broń. Ranny, ledwie uszedł masakry w szpitalu. Po upadku powstania, samotny i bez środków, przebiedował okres do kapitulacji Rzeszy, po czym — w lecie 1945 r. — znalazł się w Katowicach, trafił do „Dziennika Zachodniego”. Został przydzielony przez Ziembę do mnie wraz z Adamem Stankiem, który przeszedł z czasem z „Dziennika Zachodniego” do „Trybuny Robotniczej”, potem „Trybuny Ludu”, był korespondentem w Stanach Zjednoczonych, potem pracownikiem ambasady polskiej w USA, sekretarzem ambasady polskiej w Paryżu. Odbili u mnie obaj jak gdyby skondensowany kurs dziennikarstwa. [...]

W 1946 r. Litwin opuścił „Dziennik Zachodni” i zapytał mnie o ewentualny etat w „Życiu Gospodarczym”. Było to do załatwienia i obaj rozwinęliśmy część informacyjną czasopisma, przy czym poza serwisem krajowym obaj mieliśmy ciągoty do kroniki międzynarodowej. Litwin nabierał biegości w angielskim. Czasem też pisywał artykuły z dziedziny międzynarodowych stosunków gospodarczych, przeważnie z obozu krajów marshallowskich.

Minęło trochę czasu i — już po aferze z Gruchałą — zakolatał do „Życia Gospodarczego” Hubert Sukiennicki. Syn kolejarza warszawskiego, przebił się przez uniwersytet, w 1920 r. zdobył Krzyż Walecznych (mając 22 lata), doktoryzował się w Warszawie z prawa, wyjechał do Francji, gdzie w latach 1926—1928 współpracował z „Głosem Wychodźcy” w Lille i studiował w Sorbonie. Był działaczem na niwie wychodźczej, a także w ramach Ligi Morskiej, czym nie chwalił się w ankietach powojennych. Wojnę spędził w Warszawie, brał udział w konspiracji, czego dowodem Krzyż Partyzancki. W marcu 1945 r. pracował w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym w Katowicach, w grudniu zaś tego roku znalazł się w katowickim Instytucie Śląskim. Pisywał do „Życia Gospodarczego” artykuły, m.in. o gospodarce Czechosłowacji. O szczegółach jego wejścia do dwutygodnika póź-

niej. Teraz wspominam go dlatego, że uzupełnił moje i Litwina zainteresowania sprawami międzynarodowymi swoimi zainteresowaniami ekonomiczną prasą radziecką. Te rozwijające się zainteresowania międzynarodowe o szerokim zakresie uzupełniane były potem przez J. Pankiewicza, teścia Osóbki-Morawskiego, który na co dzień referował zachodnie rynki finansowe i inwestycyjne. Wraz z Sukienickim interesował się też bardzo życiem partii w kraju. Obaj panowie komentowali wydarzenia polityczne z pozycji „bezpartyjnych bolszewików”.

Ja osobiście spotkałem się z propozycjami wstąpienia do PPR już w chwili zaczęcia pracy referenta prasowego w hutnictwie. Odpowiadałem zawsze, iż takie mechaniczne dołączenie do organizacji byłoby zwykłym karierowiczostwem, podczas gdy pragnę przede wszystkim poznać partię, jej program i działanie, a dopiero potem powziąć decyzję. Moi rozmówcy zrymali się na to stanowisko.

W 1947 r. uznałem, że sprawa dojrzała. Napomknąłem o tym Mańkowskiemu, który w dłuższej rozmowie starał się pozyskać mnie do Stronnictwa Demokratycznego. Ale ja uważałem, że jak spadać z konia, to z wysokiego. Postarałem się więc o deklarację, na wprowadzających zaś poprosiłem Gryksztasa z Wydziału Informacji i Propagandy przemysłu hutniczego i S. Ludkiewicza, współpracownika „Trybuny Robotniczej” i siostrzeńca jej redaktora naczelnego Stefana Staszewskiego. Po czym, ponieważ w „Życiu Gospodarczym” nie było organizacji podstawowej, skierowany zostałem do organizacji terenowej w miejscu zamieszkania, to jest w Ligocie-Brynowie. Niebawem odbyła się konferencja dzielnicowa, na której wystąpiłem z gładkim przemówieniem na tematy raczej międzynarodowe i zostałem wybrany do Komitetu dzielnicy Brynów i jego egzekutywy. Organizacja dzielnicowa żyła głównie problemami dużej kopalni „Wujek”, więc brałem tam udział w paru prasówkach propagandowych, a z czasem znalazło się trzech partyjnych w redakcji, gdzie założyliśmy podstawową organizację partyjną, i przenieśliśmy się automatycznie do dzielnicy Katowice-Sródmieście, zresztą jako sekretarz POP.

\*

Duże wydawnictwo gospodarcze i wpływowe czasopismo — oba działające pod egidą Ministerstwa Przemysłu i Handlu — nie mogły egzystować bez nadzoru patrona. Skompromitowany Gruchała, letkiewicz-felietonista Mańkowski czy sporadyczne moje podróże z odbitkami łamanych kolumn dla Warszawy — pozostawiało to wszystko lukę, natura zaś nie lubi próżni. Jakoż wypełniła ją niebawem osoba protegowanego przez E. Szyra ekonomisty Jerzego Kwejta.

Jeszcze przedtem jednak nastąpiło dalsze rozszerzenie zespołu redakcyjnego. W tym czasie „Dziennik Gospodarczy” dogorywał już zupełnie i został połączony z warszawską redakcją czytelnikowskiej „Rzeczypospolitej”. Bytom stał się jedynie delegaturą centrali warszawskiej. Łącznikiem był Stanisław Pruszyński, dziennikarz przedwojenny, który po powrocie z oflagu działał na etacie „Rzeczypospolitej”, pracując na wierszówkę w wielu redakcjach. „Rzeczypospolita” przejęła z „Dziennika Gospodarczego” tematykę branżową, korzystając dość bezkrytycznie z raz kiedyś nakazanych, a potem regularnie nadsyłanych do redakcji bytomskiej sprawozdań zakładów przemysłowych. W 1981 r. przeglądałem w Centralnym Archiwum KC depozyty Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Wydawnictw i Widowisk, obejmujące konfiskaty (ingerencje) lat 1946—1948. I tak np. w nr. 300 z 31 X 1948 podano informację (ingerencja w nawiasie): „5-tysięczny wagon. W nocy z piątku na sobotę huta »Ostrowiec« [w Ostrowcu] wyprodukowała [...] [obecnie pracuje w niej 6000 ludzi]”. Inne konfiskaty tego okresu: „Huta Szczecin [w Stołeczynie...]”; „Radomskie Zakłady Obuwia postanowiły do 1 XII br. wyprodukować 46 tys. par obuwia przemysłowego i cywilnego oraz 7 tys. par obuwia wojskowego ponad



plan”]; „Huta »Ostrowiec« postanowiła wykonać na 10 XII w darze Kongresowi [(Zjednoczenia Partii) 500 wagonów] 25% więcej ponad plan państwowy”. Konfiskowane były też w zakresie adresu ogłoszenia, mówiące że Państwowa Fabryka Prochu w Pionkach przyjmie referenta bezpieczeństwa i higieny pracy.

Tu wspomnę mimochodem, że „Życie Gospodarcze” w tym okresie miało np. takie ogłoszenia, jak to w nr. 5 z 1948 r., zajmujące 1/4 okładki: „Poważna instytucja w Katowicach zatrudni jednego nocnego starszego woźnego, sprzedaje jeden silnik elektryczny, o sile 15 koni, 220 Volt, 40,4 Amper, 144 obrotów, platformę ogumioną lub normalną na 5 do 6 ton. Zgłoszenia do Administracji »Życia Gospodarczego«”. Z tego ogłoszenia wygląda do pół pasa cała szczepanikowska praktyczność i zapobiegliwość wydawnicza.

Co do ingerencji w „Rzeczypospolitej”, to przebijają z nich troska o tajemnicę strategiczno-wojskową w typowo biurokratycznym ujęciu. Wykreśla się nazwę przedmieścia, gdzie zlokalizowana jest huta o nazwie umieszczonej w każdym atlasie świata (Szczecin). Wykreśla się szczegółowy adres fabryki prochu, ale zostawia jej geograficzną nazwę, otwierając niejako drogę ewentualnemu szpiegowi do stałego personelu itd., itp.

Z imprezy bytońskiej Fikus i Jolles przeszli do Instytutu Prasowego przy „Czytelniku”. Kilku natomiast dziennikarzy zgłosiło się do „Życia Gospodarczego”. Z wydziału informacji Centralnego Zarządu Przemysłu Hutniczego przeszedł do „Życia Gospodarczego” Jerzy Snarski, dotychczasowy redaktor „Wiadomości Hutniczych”. Przy wydawnictwie „Życia” zaczął też kręcić się Marian Sikora, zahaczając się o redakcję „Przeglądu Rynkowego”, przekształconego niebawem w „Gazetę Handlową”. O niej będę pisał odrębnie, gdyż los związał mnie z nią potem na długie siedemnaście lat.

Zespół redakcyjny przeniósł się z pokoju na I piętrze do pomieszczenia na parterze od strony podwórza. Jaworski, Litwin, Snarski, niebawem Sukiennicki, zajmowali duży pokój, ja zaś miałem biurko w nie oddzielonej drzwiami ściśle łączącej się wnęce — zresztą z osobnym oknem.

W sierpniu 1948 r., kiedy przedsiębiorstwo wydawnicze przejęło kilka innych przedsięwzięć krajowych, nie tylko wydawniczych, ale i wystawienniczych, zamierzając uzyskać z Ministerstwa Przemysłu i Handlu gestię na cały jego plan wydawniczy (na 1949 r. przewidywane wydatki 400 mln zł), członkiem zarządu Spółdzielni „Życie Gospodarcze” i redaktorem naczelnym dwutygodnika został Jerzy Kwejt. Pochodził z Łodzi, z rodziny przemysłowców lub urzędników przemysłu włókienniczego. Studia ekonomiczne odbył w Szwajcarii. Kiedy przez jakiś czas po wojnie Eugeniusz Szyr działał w Łodzi, angażował go do jakichś prac. Dowiedziawszy się, że Kwejt przyjechał z Warszawy i zatrzymał się w pokojach gościnnych przemysłu ciężkiego, postanowiliśmy z Jaworskim odszukać go tam. Woźnego pozbyliśmy się bez trudu, ale okazało się, że poszukiwany szef jest nieobecny. Redagowanie „Życia Gospodarczego” dawnym rozpędem, bez udziału Szczepanika i Mańkowskiego, zajętych wielkimi sprawami wydawniczymi, dopiekało nam tak dalece, że postanowiliśmy czekać. Jakoż zjawił się niebawem — nieprzystępny i wyniosły. Nie chciał z nami mówić, ale stwierdziliśmy sucho i równie nieprzyjemnie, że nie przywykliśmy do szefów, którzy ukrywają się i nie biorą odpowiedzialności za pracę, jaką wykonujemy, bo tak trzeba, choć poomacku. Kwejt zmienił ton, przeprosił, tłumacząc się rzekomym zmęczeniem podróżą. Choć bardzo chciał być redaktorem, było widoczne, że nie ma o tym pojęcia, ale dostrzegaliśmy też z naszej strony chęć porozumienia i współpracy. Ostatecznie po dwóch czy trzech dniach rozmów postanowiono, że Kwejt nadal będzie działał w Warszawie, gdzie właśnie osiadł po przenosinach z Łodzi, a w Katowicach ja zostaję zastępcą redaktora naczelnego, Jaworski zaś sekretarzem. Formalne umowy, związane z podwyżkami, załatwione zostały od ręki przez członka Zarządu Spółdzielni

Wydawniczej Kwejta z prezesem Zarządu Szczepanikiem i urzędującym członkiem Zarządu Mańkowskim.

Kwejt, który — jak się okazało — antyszambrował niemal nieustannie po wydziałach KC PZPR w Warszawie, najpierw chciał użyć jako piszący redaktor, po paru jednak próbach zarzucił to i zajął się akwirowaniem artykułów w Warszawie, my zaś faktycznie prowadziliśmy pismo w Katowicach. Raz czy dwa razy na miesiąc przyjeżdżał na Śląsk, często ze zdobytymi artykułami, poza tym był ze mną w częstych kontaktach telefonicznych.

Przy większym składzie zespołu mogłem, pomimo dużej ilości pracy, poświęcić się trochę pracom społecznym. Tak np. kiedy Tomiczek, mający coraz więcej zajęć w związku z rozszerzeniem zasięgu działania przedsiębiorstwa ustąpił ze stanowiska przewodniczącego rady zakładowej, zostałem wybrany na jego miejsce. Personel składał się z kierownictwa administracyjnego, księgowości i kilkunastu kontystek załatwiających prenumeratę „Życia Gospodarczego” oraz czasopism pączkujących (nie wspominał o redakcji dwutygodnika). Z tej działalności związkowej można zanotować m.in. powołanie Sukiennickiego, Jaworskiego i mnie przez katowicką organizację związkową do przeprowadzenia kilku wykładów dla aktywistów MRZZ. Poza tym Sukiennicki opracował nam regulamin indywidualnego współzawodnictwa w zespole redakcyjnym, z uwzględnieniem wydajności i poziomu publicystyki. Byliśmy bardzo przejęci przy okresowych analizach naszej pracy, przeprowadzanych przez nas samych.

Nie brakowało czasem sytuacji groteskowych. Na przykład w ramach podjazdowej wojny między Kościołem i partią (Pius XII groził partyjnym ekskomuniką) przyszło polecenie Komitetu Miejskiego PZPR, aby została podjęta jakaś rezolucja antyklerykalna przez ogół pracowników. Odbył się zebranie, na którym zreferowałem różnicę między duszpasterską a polityczną funkcją kleru. Ogół pracowników, przeważnie pobożnych Ślązaczek, wysłuchał tego w grobowym milczeniu. Odczytałem tekst rezolucji i zarządziłem głosowanie. „Kto jest za?” — i podniosłem rękę. W ślad za mną podnieśli jeszcze ręce członkowie partii Szczepanik i Grudziński. „Kto jest przeciw?” Nikt. „Kto wstrzymał się od głosowania?” Uniosło się ponad 30 rąk. Z całym spokojem stwierdziłem, że rezolucja przeszła trzema głosami przy trzydziestu wstrzymujących się i wszyscy byli pozornie zadowoleni.

Roman Grudziński z referenta prasowego katowickiego „Społem” i autora pogadank w śląskim radiu awansował na etatowego pracownika u Szczepanika. Był to człowiek śliski, przypodchlebiający się rozmówcy, trafił też do partii niewątpliwie w celach kariery. Niedługo po wspomnianym zebraniu zespołu przyszła do mnie jedna z pracownic, skarżąc się, że Grudziński ją napastuje. Poprosiłem oboje na zwołane *ad hoc* zebranie POP. Dziewczyna popierała oskarżenie, Grudziński zapierał się niezwykle energicznie. Dowieść jakichś grubszych niestosowności nie można było, a granica zalotów jest płynna. Powstał dylemat: czy odrzucić zarzuty kontystki i zrazić do partii cały personel, czy uznać niestosowność postępowania niefortunnego flirciarza? Wziąłem pod uwagę, że partia z karierowicza pociechy mieć nie będzie i że w tej czy innej formie kłopotów w przyszłości nie zabraknie. Sformułowałem ocenę postępowania w miejscu pracy człowieka związanego z kierownictwem firmy, a więc rodzaj wymuszenia, i zaproponowałem skreślenie z listy członków partii Grudzińskiego, który rozpaczliwie się bronił. Wniosek przeszedł, Grudziński sprawę przebolewał i potem nie odwoływał się do instancji partyjnej.

Na wiosnę 1948 r. dr Edward Rose, ekonomista zajmujący wysoką pozycję w przemyśle śląskim, dostał z Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w Warszawie mandat zorganizowania Oddziału PTE w Katowicach. W kwietniu zawiadomił o tym pisemnie kilkadziesiąt osób, w czerwcu zwołał ze-

branie organizacyjne. Jako członek kierownictwa redakcji „Życia Gospodarczego” dostałem oba pisma i zostałem członkiem Oddziału. Pracował on na zasadzie zebranych dyskusyjnych, o tyle m.in. interesujących, że wśród ekonomistów katowickich, sosnowieckich, gliwickich przeważali, a właściwie stanowili 100%, wyznawcy ekonomii burżuazyjnej, zatrudnieni przed wojną w ciężkim przemyśle, prowadzonym przez kapitał międzynarodowy, z rzadka tylko rodzimy. Jednakże lojalnie włączyli się do budowy gospodarki Polski Ludowej i z niekłamany zainterесowaniem pogłębiali znajomość marksizmu z jednej strony, doświadczeń gospodarki radzieckiej — z drugiej. Szczególnie chętnie słuchano wypowiedzi tych, którzy w czasie wojny zetknęli się we Lwowie, potem w głębi kraju, z gospodarką poddaną wówczas rygorom wojennym. Powstawało pytanie, jak korzystać z doświadczeń radzieckich? Sukiennicki odpowiadał na to z zapalem: „Pełną garścią”. Stosował tę zasadę w „Życiu Gospodarczym”, w każdym numerze zamieszczając tłumaczenie dużych ustępów artykułów z „Planowego Choziajstwa”, „Woprosów Ekonomiki” czy „Kommunista”. [...]

Ostatni rok Planu Trzyletniego był zarazem rokiem przygotowania nowej organizacji gospodarki krajowej. Powstała Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego i kilkanaście ministerstw branżowych. Ginił Centralny Urząd Planowania, pączkowało Ministerstwo Przemysłu i Handlu, samo przestając istnieć. Po kongresie połączeniowym partii robotniczych był to następny krok w rozwoju form prawnych i organizacyjnych kraju.

Wraz z rozczłonkowaniem organizacyjnym aparatu gospodarczego nastąpiła jednak centralizacja w Warszawie. Choć miasto leżało jeszcze w gruzach, ściągano do niego wszystko, co tylko się dało. Dotknęło to również branżę wydawniczą. Przy Komitecie Centralnym PZPR organizowała się Centralna Komisja Wydawnicza, na której czele stanął Stefan Staszewski, przechodząc tam z redakтуры naczelnej katowickiej „Trybuny Robotniczej”, która uprzednio wchłonęła katowicką „Gazetę Robotniczą”, przejmując jej personel, a tytuł przekazując do Wrocławia. Prasę gospodarczą i techniczną poddano Komisji Wydawniczej przy PKPG, organizując Polskie Wydawnictwa Techniczne, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne oraz „Polgos” dla wydawnictw gospodarczych. Do „Polgosu” miała wejść — jako trzon — Spółdzielnia Wydawnicza „Życie Gospodarcze”, „Ingos” (podobna, choć mniejsza spółdzielnia wydawnicza w Łodzi) oraz drobne instytucje wydawnicze spółdzielcze i prywatne lub „uczeplone” do urzędów oraz instytucji. Statut „Życia Gospodarczego”, jak pamiętamy, przewidywał oddanie całego dorobku ewentualnie powołanej szerszej instytucji wydawniczej. Szczepanik i Mańkowski myśleli, że wraz ze swą spółdzielczą firmą wejdą do kierownictwa „Polgosu”, ale zreçniejszy okazał się twórca i kierownik „Ingosu” Kazimierz Dąbrowski. Mańkowski przeniósł się do Wydawnictw Komunikacyjnych, Szczepanik zajął się likwidacją Spółdzielni Wydawniczej „Życie Gospodarcze”. [...]

Dwutygodnik „Życie Gospodarcze” miał być przeniesiony do Warszawy.

25 kwietnia 1949 r. dostałem pismo Zarządu Spółdzielni Wydawniczej „Życie Gospodarcze”, datowane z Warszawy, a podpisane przez A. Szczepanika i J. Kwejtę, wymawiające mi pracę z dniem 1 maja 1949 r., z zakończeniem stosunku służbowego na 31 lipca — ze względu na reorganizację spółdzielni. Na piśmie tym poczyniłem uwagę, iż nie przyjmuję go do wiadomości wobec nieuwzględnienia mi urlopu jednodniowego. Uwagę tę przekreśliłem po wyjaśnieniu, że pismo ma charakter jedynie formalny i w ślad za nim nadejdzie pismo angażujące na dalszy okres. Jednocześnie z tą samą datą 25 kwietnia 1949 r. dostałem drugie pismo, ale datowane z Katowic, również podpisane przez Szczepanika i Kwejtę, informujące o zaszeregowaniu mnie do V grupy dziennikarskiej, z pensją zasadniczą 30 tys. zł, od 1 stycznia 1949 r. I na tym piśmie zaznaczyłem, że nie przyjmuję

go do wiadomości ze względu na pominięcie dodatku funkcyjnego w wysokości 10 tys. zł. Oba pisma otrzymałem 29 kwietnia, i tak też datowałem moje uwagi.

Następne pismo, angażujące mnie przez nową już organizację — Polskie Wydawnictwa Gospodarcze, było indywidualną umową o pracę, zawartą w ramach układu zbiorowego w dziennikarstwie z 20 lutego 1948 r. Stwierdziła ona, że z dniem 1 maja 1949 r. jako członek rzeczywisty Związku Zawodowego Dziennikarzy, Nr Rejestru Dz. 822, z datą stażu 1934 r., obejmuję w redakcji „Życia Gospodarczego” obowiązki zastępcy redaktora naczelnego, ze stałą pensją 30 tys. zł i dodatkami funkcyjnym 10 tys. zł. Praca regulowana zostaje zgodnie z Regulaminem Redakcji „Życia Gospodarczego”. Umowa nosi podpisy mój i Kazimierza Dąbrowskiego — upoważnionego przedstawiciela wydawnictwa, kontrasygnowana jest przez J. Kwejtę, a datowana z Warszawy 21 maja 1949 r.

Jak widać, gorączkowa reorganizacja przynosiła wiele naraz rozwiązań i posunięć, regulacji spraw — zaświadczonej mnogością pism — tym bardziej że był to czas wdrażania postanowień układu zbiorowego pracy dla dziennikarzy, wynegocjowanego przez długie miesiące i podpisanego w I kwartale roku.

Ponieważ Kwejtę uważał wejście do Zarządu Spółdzielni za rzecz ważniejszą niż redakcja naczelna i mierzył również na kierownicze stanowisko w Polskich Wydawnictwach Gospodarczych, faktyczne kierownictwo redakcją dwutygodnika spadło na mnie i fakt ten przyniósł mi zastępstwo redaktora naczelnego, usankcjonowane formalnie i finansowo.

Zamieszanie panowało również w zakresie organizowania sił szeregowych wydawnictwa. Do administracji PWG mieli przejść głównie pracownicy „Ingosu” z Łodzi, współpracownicy K. Dąbrowskiego, natomiast grupa katowicka, zwerbowana przez Szczepanika, miała odejść. Wręczono im wypowiedzenia, jednakże bez porozumienia z radą zakładową. Na protest pracowników Dąbrowski oświadczył, że jest to sprawa formalna, która nie zmieni faktów, a jednocześnie zwrócono się do mnie, jako przewodniczącego rady zakładowej, żebym dał zgodę na wypowiedzenie. Pracownicy katowickie natomiast poprosiły mnie o obronę. W tym stanie rzeczy oświadczyłem, że nie mogą postdatować zgody rady na nieformalne wypowiedzenie, choć pracowników katowickich przekonywałem o nieuchronności zwolnienia wobec przenosin administracji wydawnictwa do Warszawy. Zgodzono się z tym, ale naciskano na formalne wypowiedzenie, oczywiście w nowym terminie. Niebawem zostałem wezwany do Warszawy, gdzie (na Hożej 35, w domu ufundowanym spalonej Warszawie przez ONZ, na trzecim piętrze) działał już zarząd PWG i niektóre komórki. Przyjął mnie dyr. Dąbrowski z kimś z POP. Po paru przyjaznych słowach zasiadł na mnie nagle, stwierdzając, że interesy gospodarcze państwa wymagają, ażeby nie przedłużać okresu wypowiedzenia i podpisać to, co już zostało dokonane. Z całą stanowczością przeciwstawiłem temu interes społeczno-polityczny praworządności, która została naruszona przez nieopatrność kierownictwa firmy i lekceważenie praw pracowniczych. Ta mocna kontra zrobiła wrażenie. Dąbrowski zmienił jeszcze raz front i zostały wysłane nowe wypowiedzenia, już ze zgodą rady zakładowej, uznającej prawa reorganizacji.

Latem 1949 r. sprawy wydawnictwa z dnia na dzień przesunęły się do Warszawy. O tendencji przeniesienia czasopisma do stolicy mówiliśmy też w naszym gronie. Wszyscy byli za tym, poza mną. [...] Przyczyną tego były zarówno urazy wojenne, jak i to, że Śląsk był nadal centralnym ośrodkiem gospodarczym, a więc żyznym podłożem dla działalności dziennikarskiej. Przypomniałem sobie, jak przed półtora rokiem Stefan Staszewski, redaktor naczelny „Trybuny Robotniczej”, zaproponował mi etat w swym dzienniku. Opierałem się, mówiąc, że beze mnie „Życie Gospodarcze” nie da sobie rady. Nie nalegał, bo taką zapewne miał metodę. Obecnie byłem przekonany, że znajdę sobie pracę — jeśli nie w „Trybunie

Robotniczej", to w „Dzienniku Zachodnim”, skąd właśnie przenosił się do Warszawy Ziemia.

W takim nastroju spotkałem na ulicy Stefana Sieradzkiego, który właśnie opuścił prowadzoną dotychczas, a zlikwidowaną „Gazetę Robotniczą” i zaangażowany został do „Trybuny Robotniczej”, gdzie — jak można było dorozumieć się — był przyjęty jako pepesowiec dość nieufnie. Teraz nawiązał do pogłosek o przenosinach „Życia Gospodarczego” do Warszawy. Dziwił się, że mnie to nie interesuje.

Następnego bodaj dnia zjawił się w Katowicach dyrektor „Polgosu” Kazimierz Dąbrowski z kierownikiem działu produkcji książek Haliną Tochtermanową, moją młodszą koleżanką z Warszawskiej Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, i kierownikiem kadr Ajzykiem Szechterem, który zajął się sprawami osobowymi likwidowanej spółdzielni wydawniczej. Dąbrowski z Tochtermanową zaprosili mnie na obiad do restauracji. Dyrektor zaproponował mi stanowisko naczelnego redaktora działu książek „Polgosu”. Konsekwentnie opierałem się tej zmianie, ale Halusia, powołując się na wspomnienia studenckie, kruszyła mój opór, który podniecał Dąbrowskiego do wzmaganania oferty różnymi zachętami. Miałem dostać mieszkanie (w ówczesnej zrujnowanej Warszawie!), zwrot kosztów przeprowadzki i podróży z rodziną, utrzymanie dziennikarskiej pensji (wyższej niż w pionie wydawniczo-książkowym).

Jaworski był przed wojną przez rok redaktorem książek i opowiadał ciekawie o specyfice tej działalności. Poczulem nagle ochotę spróbowania nowych doświadczeń i — zastrzegając czas do namysłu — po domowej naradzie z żoną wyraziłem nazajutrz zgodę, z terminem przeprowadzki po nowym, 1950 roku.